



Nasz konkurs: „Młodzi Miłośnikami Melpomeny“

Wyszedł z domu

CZAS. Jedno z najbardziej nieuchwytnych pojęć. I właśnie na nim Różewicz oparł fabułę swojej sztuki „Wyszedł z domu”. Sztuki o nieco filozoficznej konwencji, mówiącej o przemijaniu czasu, a wraz z nim o przemijaniu zdarzeń, ludzi. Symbolem tej całej nieskończoności stają się wskazówki zegara.

„Tak zwana komedia”, jak określił sztukę autor, ma w sobie w gruncie rzeczy obszary dramat, i w końcu dramatem się staje. Bo jakże inaczej określić stan psychiczny kobiety nekanej myślą o niepowracającym mężu? A mąż ów najwycyżajniej w świecie przewraca się na skórcie od banana, upada na głowę, wybijając sobie z niej całe dotychczasowe życie. Śmieszne to a zarazem prawdziwe i smutne. Ale czy dla niego? Sprawia on wrażenie człowieka beztroskiego, dla którego życie przybiera różowy kolor. Nieświadomy jest rzeczy oczywistych jak i poważnych problemów. Żyć, nie umierać, chętnieby się powiedział. A jednak? Czym bez tej słotności byłaby filozofia życia? Przede wszystkim nie byłaby filozofia.

Trudno zdać sobie sprawę z sytuacji, jaka spotkała bohatera sztuki. Wydawać się może, że odtworzenie rzeczy i pojęć dotychczas mu znanych może wywołać nawet szok. Cała akcja kończy wyjście bohatera. Ot, wyszedł z domu. Tu można zadać sobie pytanie: czy wróci? I to właśnie pytanie uważam za drugi tytuł sztuki.

Jeszcze kilka słów o aktorstwie. Dobrze w swojej roli wypadł Józef Jachowicz, grający główną postać, słabiej tym razem — rolę kobiecą, a w szczególności Elżbieta Arentowicz jako Gizela. Natomiast dużo ponad przeciętność wybił się Henryk Gęsikowski odwytujący Beniamina, postać tym trudniejszą, bo kilkunastolenia. Aktor ten, który dał już próbkę swoich możliwości m. in. w „Balu u Salomona”, ma duże szanse (plus predyspozycje!) stać się jedną z pierwszoplanowych postaci naszych teatrów w ogóle. Korzystając z obecności Henryka Gęsikowskiego na spotkaniu w naszej szkole, zorganizowanym przez Koło Miłośników Teatru, poprosiłem o kilka słów rozmowy, którą niniejszym przedstawiam:

— Co spowodowało, że oglądaliśmy pana na szczecińskich scenach teatralnych?

— Po ukończeniu Szkoły Teatralnej w Łodzi dostałem ofertę od dyrektora Grudy. Wydała mi się interesująca między innymi ze względu na jego metody pracy twórczej. Poza tym — samo miasto, a do tego sprawa scen teatralnych, bardzo interesujących na przykład Zamek, o którym bardzo dużo słyszałem. To wszystko mnie zafascynowało i dlatego właśnie przyjechałem do Szczecina.

— A jak układa się współpraca z naszym zespołem aktorskim?

— Znakomicie! Jest to dobry, wyrównany, sympatyczny no i przede wszystkim koleżeński zespół.

— Jak ocenia pan szczecińską widowność?

— Uważam, że jest to jedna z ciekawszych widowni w Polsce. Znam widownie warszawska, jest tam trochę i snobizmu, i „eliciarstwa”, z kolei łódzka widownia jest w pewnym sensie nieobliczalna. A tu, sądząc, że ludzie, szczególnie młodzież, lubią chodzić do teatru i potrafią teatr żywo odbierać.

— W „Spojrzeniach” są drukowane recenzje młodzieży ze sztuk teatralnych. Czy pan je czytuje i jak je pan odbiera?

— Muszę przyznać, że te recenzje ze „Spojrzeń” są interesujące i ciekawe.

Mnie dlatego, że są dziełem zwykłego widza a nie zawodowego recenzenta, który gdzieś tam mimo wszystko dały do obiektywizmu w tym co pisze, i nie zawsze mu to się udaje. A najbardziej obiektywny jest widz, który ogląda, i dlatego wolę czytać recenzje młodzieży, mimo, że są one od czasu do czasu nieporadne, co jest normalne, bo przecież nikt z tych młodych ludzi nie uprawia rzemiosła dziennikarskiego, ale jeżeli coś tam ciepłego napisze, to gdzieś cieszę w środku.

— Pana ulubiona postać sceniczna?

— Chłopiec z „Deszczu”.

— Grał pan w kilku filmach; która z postaci filmowych utkwiła w panu najbardziej?

— Chyba harcerz z „Draki”. Była to rola takiego małego chłoptysia.

— Co w planie na ten rok?

— Teraz to już końcówka sezonu. A co w następnym, to już zależy od planów repertuarowych i od tego, w czym mnie dyrektor Gruda obsadzi.

— Jest pan stosunkowo niedługo w Szczecinie. Jakie wrażenie zrobiło na panu samo miasto?

— Wspaniale! Jak tu przyjechałem, już z bagażem, to akurat był kwiecień i zaczęły kwitnąć magnolie, i powiedziałem sobie: tutaj zostaję.

— Czy tylko teatr zajmuje miejsce w pańskim życiu, czy ma pan może jakieś hobby?

— Na dobrą sprawę nie mam hobby, bo na to nie ma czasu. Ale uwielbiam na przykład oglądać i być na wszystkich wystawach plastyk w Zamku albo w salonie WAG-u, poza tym, o ile czas pozwoli, dobre kino, szczególnie amerykańskie aktorstwo, i do tego dobra książka — to mi wystarczy. Znaczków nie zbieram.

— Dziękuję za rozmowę, życzę powodzenia i dalszych sukcesów!

— Dziękuję i... do zobaczenia!

JACEK KOWALCZYK,
klasa T 5 b
Technikum Łączności, Szczecin

Tak zwana komedia

Sztuka „Wyszedł z domu” to „tak zwana komedia”, poruszająca problemy nurtujące nas, ludzi współczesnych.

Fabula sztuki jest bardzo interesująca, związana z ukazaniem atmosfery codziennego życia naszej epoki, ukazującą sytuację wewnątrz rodziny oraz stosunek osób trzecich do tej rodziny. Nasi bohaterowie są typowymi ludźmi dzisiejszych dni. Posiadają cechy charakteru, które z łatwością można zauważyć u każdego z nas.

Kulminacyjnym czynem, prowokującym zbурzenie dotychczasowego toku życia tej rodziny stała się ucieczka Henryka z domu. Henryk pragnął wyzwolić się z ciasnej, filisterskiej egzystencji domowej. Pewnego dnia wyszedł z domu i stracił pamięć. Pozostawił oczekującą żonę, dzieci i mnóstwo codziennych spraw. Dlaczego tak postąpił? Co chciał zapomnieć i co zmieniło się w zyciorysie tego człowieka? Pytania te wydają się trudne i na pozór oskarżające Henryka. Jednak zwracając baczną uwagę na zachowanie się rodziny, na jej płytką mentalność można sobie uzmysłowić rację tego postępowania. Henrykowi po prostu znudziły się codzienne, wciąż się powtarzające troski, ustawiczne wykonywanie tych samych, jednakowych czynności, oglądanie tych samych twarzy, wydeptywanie o zwykłych porach dnia drogi do pracy i z pracy. Wszystko to było wykonywane jakby mechanicznie i przez długie lata. Dni stały się szare i nudne. To spowodowało u Henryka jakiegoś wewnętrznego buntu. Chciał on wyróżnić się w tłumie, w którym był bardzo samotny. Może pragnął widzieć siebie jako człowieka aktywnego, odgrywającego choćby nie duża, ale zawsze jednak jakąś rolę w trybach codzienności, może zyskać wizję na przyszłość, której ta rodzina w ogóle nie miała.

A przecież potocznie, dom, każdemu z nas kojarzy się z życiem rodzinnym, osobistym, utożsamia z miejscem, do którego tęsknimy, z przyjemnością wracamy. Trzeba tylko umieć stworzyć dobrą atmosferę!

W naszym teatrze reżyser Krystyna Tyszarska sztukę ukazała, jako spektakl o cechach komediowych. Zastanówmy się jednak, czy komediowa interpretacja jest właściwa?

Przynajmniej jednak, że w realizacji scenicznej przytłumienie tragizmu sytuacji Henryka wypadło ciekawie.

Przedstawienie ogląda się z zainteresowaniem, tym bardziej, że nie trudno wyciągnąć z jego treści moral, a bohaterów przyrównać do siebie.

Aktorzy wywiązali się dobrze ze swoich zadań, zwłaszcza Barbara Mikołajczyk.

Świetna jest scena z udziałem Henryka Majcherka, Józefa Chwiejczaka i Zbigniewa Witkowskiego.

Barbara Jankowska (scenografia) wybrała, moim zdaniem, nie najbardziej trafną wizję scenograficzną tej sztuki Różewicza — jest ona na pograniczu realizmu i abstrakcji. Wprowadziła bowiem chaos w odczuciach widza oglądającego przebieg akcji.

JADWIGA WIT
Technikum Łączności, kl. L III b
Szczecin